

# ROK 1989 W POLSCE

## ŹRÓDŁA PRZEŁOMU I PUNKTY ZWROTNE

Rozkład systemu komunistycznego w Polsce w 1989 r. był rezultatem złożonego splotu wielu czynników o charakterze zewnętrznym i wewnętrznym. Fala strajków latem 1980 r., a następnie będące jej konsekwencją narodziny NSZZ „Solidarność” zapoczątkowały nową, najgłębszą, fazę kryzysu państwa komunistycznego w Polsce. Narastający od 1976 r. kryzys ekonomiczny doprowadził w 1980 r. do destabilizacji systemu politycznego opartego na hegemonicznej pozycji PZPR. Powstanie i trwający ponad rok okres legalnej działalności NSZZ „Solidarność” wprowadziły zasadnicze zmiany w świadomości społecznej, których nie była już w stanie zmienić polityka tzw. normalizacji zainicjowana po wprowadzeniu stanu wojennego w grudniu 1981 r. Rozbicie „Solidarności”, a następnie spacyfikowanie protestów społecznych, których apogeum miało miejsce 31 sierpnia 1982 r., gdy do demonstracji zwolenników Związku doszło w 66 miastach, nie zatrzymało procesów gospodarczych, społecznych i politycznych przesądających o wejściu ustroju peerelu w stan chronicznego kryzysu, a następnie – po zmianie sytuacji międzynarodowej – do jego upadku.

Zmiana polityki ZSRS wobec Europy Środkowej, pogarszanie się nastrojów społecznych w Polsce od połowy lat osiemdziesiątych, proces deregulacji i prywatyzacji państwa komunistycznego, wreszcie działalność solidarnościowej opozycji i Kościoła katolickiego wydają się najważniejszymi źródłami zmiany systemowej. Ramy czasowe tej ostatniej nie zamykają się oczywiście w dwunastu miesiącach 1989 r., lecz obejmują okres od pierwszych przejawów liberalizacji systemu politycznego peerelu w 1986 r. do pierwszych wolnych wyborów parlamentarnych w październiku 1991 r., które zakończyły proces formowania się fundamentów III Rzeczypospolitej. Jednak to właśnie w 1989 r. miały miejsce trzy najważniejsze punkty zwrotne w procesie transformacji systemowej: obrady okrągłego stołu, czerwcowe wybory do parlamentu, które były *de facto* swoistym plebiscytem, wreszcie będące ich konsekwencją powołanie rządu Tadeusza Mazowieckiego.

Podobnie jak w przypadku II Rzeczypospolitej, decydujące znaczenie dla narodzin jej spadkobierczyni miała zmiana sytuacji międzynarodowej po dojściu do władzy w ZSRS w 1985 r. Michała Gorbaczowa. Już w trakcie spotkania przywódców państw bloku sowieckiego w Warszawie 26 kwietnia 1985 r., podczas którego podpisano protokół o przedłużeniu istnienia Układu Warszawskiego, Gorbaczow mówił o konieczności „otwartego omawiania pojawiających się różnic poglądów i wypracowywania wspólnego stanowiska. Należy w porę usuwać nieporozumienia i wzajemne pretensje, nie dopuszczając do ich nawarstwiania”. Dodał też, że „każda z bratnich partii samodzielnie określa swoją politykę i jest za nią odpowiedzialna przed swoim narodem”. Był to bardzo subtelny, ale równocześnie czytelny sygnał, że Moskwa zamierza zwiększyć zakres autonomii, jakim dysponują kraje satelickie.

W lipcu 1986 r. Gorbaczow, mówiąc na posiedzeniu Biura Politycznego KC KPZS o krajach satelickich z Europy Środkowo-Wschodniej, stwierdził, że dłużej „nie można brać ich na swój kark. Główny powód – to gospodarka”. Oznaczało to, że na Kremlu zwycięża przekonanie, iż zmiany wymaga model współpracy gospodarczej w ramach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej, którego podstawę stanowił rubel transferowy. Dostawy ropy i gazu ziemnego – głównych artykułów eksportowych ZSRS – do krajów RWPG po stałych cenach, nie były korzystne

dla gospodarki sowieckiej. Nie było też sprawą przypadku, że jednym z najważniejszych postulatów Moskwy wobec władz w Warszawie już po powstaniu rządu Mazowieckiego stało się jak najszybsze przejście na rozliczanie wzajemnej wymiany handlowej w dolarach USA. Nastąpiło to ostatecznie na wyraźne żądanie strony sowieckiej z dniem 1 stycznia 1991 r.

Z ekspertyz opracowanych w ZSRS na początku 1989 r. przez sowiecki MSZ, Wydział Zagraniczny KC KPZS oraz Akademię Nauk jasno wynika, że Kreml godził się na daleko idące zmiany w Polsce i innych krajach bloku, a priorytet stanowiło dlań utrzymanie w tych państwach spokoju wewnętrznego, bez względu na to, kto będzie sprawował w nich realną władzę. W ZSRS nie zamierzano, oczywiście, rezygnować z utrzymania regionu w strefie swoich wpływów, ale – wobec rosnących trudności wewnętrznych – uznano tam, że dominacja nie musi być równoznaczna z podtrzymywaniem reżimów komunistycznych w tych krajach, w których nie potrafią one skutecznie kontrolować sytuacji społeczno-politycznej, a równocześnie przejść na nowe zasady wymiany gospodarczej. Zakładano, że kraje Europy Środkowej pozostaną członkami Układu Warszawskiego, oraz wyrażano nadzieję, że partie komunistyczne – ograniczając swój dotychczasowy monopol władzy – nie doprowadzą do jej całkowitej utraty.

Równocześnie jednak, nawet w przypadku „gwałtownego zaostrzenia się sytuacji”, wykluczano na Kremlu możliwość sowieckiej interwencji zbrojnej, która – jak głosiło opracowanie Wydziału Zagranicznego KC KPZS – „byłaby usprawiedliwiona tylko w jednym wypadku – bezpośredniego i oczywistego zbrojnego wmieszania się obcych sił w wewnętrzne sprawy socjalistycznego państwa”. W procesie wpływania na bieg wydarzeń w krajach bloku dopuszczano natomiast wykorzystywanie „powiązań politycznych i gospodarczych” i w związku z tym zalecano „czynnie szukać kontaktu ze wszystkimi siłami w krajach socjalistycznych, które pretendują do udziału we władzy”. Dlatego co najmniej od połowy 1988 r. Rosjanie zaczęli szukać kontaktów z różnymi środowiskami polskiej opozycji, najwyraźniej postrzegając w nich potencjalnych partnerów do przyszłych rozmów o nowym układzie sił nad Wisłą. Szczegóły tych rozmów kryją kremłowskie archiwa oraz pamięć tych działaczy polskiej opozycji, z którymi nawiązano wówczas pośrednie lub bezpośrednie kontakty. Z zachowanych szyfrogramów Grupy Operacyjnej „Wisła” (placówka polskiego kontrwywiadu w ZSRS) oraz szyfrogramów ambasady peerelu w Moskwie wynika, że władze sowieckie już jesienią 1988 r. gotowe były zaprosić do Moskwy Adama Michnika. Zrezygnowały z tego dopiero wskutek wyraźnej interwencji ze strony kierownictwa peerelu.

Mimo wciąż ograniczonego stanu wiedzy na temat planów sowieckiego kierownictwa w drugiej połowie lat osiemdziesiątych, można uznać za celną ocenę Andrzeja Paczkowskiego, że „Gorbaczow dokonał czegoś w rodzaju częściowej amputacji na »doktrynie Breżniewa«, która straciła swój ideologiczny sens, stając się coraz bardziej zasadą o charakterze geopolitycznym. Nie później niż w latach 1987–1988 dawna presja Moskwy na Warszawę ustąpiła, zastąpiona przez daleko idącą zgodność intencji i działań”. Ekipa gen. Wojciecha Jaruzelskiego miała zatem rozwiązane ręce w zakresie reform ustrojowych, co jednak nie przeszkadzało jej niemal do końca swych rządów posługiwać się sowieckim „straszakiem” w kontaktach z Zachodem, opozycją oraz Kościołem. Francuski badacz Jacques Levesque oceniał wręcz, że Jaruzelski długo nie wykorzystywał swobody działania, jaką otrzymał od Gorbaczowa.

Kierownictwo PZPR reagowało na zmiany na Wschodzie ostrożnie, nie do końca wierząc w trwałość proklamowanego przez Gorbaczowa nowego kursu. Jednak zmiany zachodzące w nastrojach społecznych od końca 1985 r. sprawiły, że stopniowo w umysłach części współpracowników Jaruzelskiego zaczął się krystalizować scenariusz głębokiej zmiany systemu politycznego i gospodarczego jako jedynego sposobu na ubiegnięcie

nadciągającego wybuchu niezadowolenia społecznego. Wedle poufnych wyników badań opinii publicznej, prowadzonych przez CBOS, w grudniu 1985 r. sytuację gospodarczą jako złą określało 46 proc. badanych. W następnych miesiącach wskaźnik ten rósł dość systematycznie: 55 proc. w kwietniu, 58,5 proc. w grudniu 1986 r. i aż 69,1 proc. w kwietniu 1987 r. Pogarszały się też oceny sytuacji politycznej, chociaż w tym przypadku punkt wyjścia w grudniu 1985 r. był znacznie korzystniejszy dla władz. Sytuację polityczną jako złą określało wówczas 15 proc. badanych, podczas gdy za dobrą uznawało ją 27,8 proc. W niespełna półtora roku później proporcje uległy już istotnej zmianie: w dalszym ciągu sytuację jako dobrą oceniano 25 proc. respondentów, natomiast jej pogarszanie się odnotowywało już 28,1 proc. Pozostali natomiast – a więc około połowy społeczeństwa – określali sytuację jako „ani dobrą, ani złą” bądź uchylali się od odpowiedzi. Szukając przyczyn procesu systematycznego pogarszania się nastrojów, który w 1988 r. jeszcze się pogłębił, można wskazać na poczucie rozczarowania fiaskiem reform gospodarczych zapowiadanych przez władze po wprowadzeniu stanu wojennego, a także wchodzenie w dorosłe życie tych roczników, dla których solidarnościowa rewolucja lat 1980–1981 i jej klęska nie stanowiły osobistego doświadczenia.

Sygnaly płynące ze Wschodu, w połączeniu z pogarszaniem się nastrojów społecznych, stworzyły atmosferę, w której ekipa Jaruzelskiego zdecydowała się jesienią 1986 r. na „manewr kooptacji”. Jednak ani stworzona w końcu tego roku Rada Konsultacyjna przy przewodniczącym Rady Państwa, ani też socjotechniczna operacja propagandowa, której początek miało stanowić referendum z listopada 1987 r., nie spełniły pokładanych w nich nadziei. Nie udało się też uzyskać kredytu zaufania od Kościoła, w zamian za dopuszczenie do udziału we władzy niektórych działaczy katolickich związanych z episkopatem. Biskupi, mimo wielokrotnych rozmów sondażowych, nie chcieli podzyrować układowi, w którym ich autorytet stanowiłby osłonę przed potencjalnym wybuchem niezadowolenia społecznego.

Wiosną 1988 r., w związku ze zbliżającymi się wyborami do rad narodowych, sekretarz episkopatu, abp Bronisław Dąbrowski, usłyszał ze strony reprezentantów strony rządowej następującą propozycję: „Może byście wskazali kandydatów [na radnych] związanych z biskupem, którzy mogą być zgłoszeni przez Radę Konsultacyjną lub konwenty wojewódzkie [...]. Zastanówcie się, czy nie ma takich katolików, którzy by okazali gotowość”. Arcybiskup Dąbrowski zrzęcznie wybrnął z przedstawionej mu oferty-pułapki, argumentując, że „jeśli za katolickim kandydatem do rady narodowej nie stoi katolicka organizacja, może on narobić głupstw zarówno dla nas, jak i dla was”. W ten sposób uzależnił udział katolików świeckich w strukturach państwowych od zgody na swobodę tworzenia przez nich organizacji społeczno-politycznych. Strona kościelna bez entuzjazmu podeszła też do zachęt związanych z planami przebudowy PRON, o których mówił sekretarz KC PZPR, Stanisław Ciosek: „Chcemy, by PRON był płaszczyzną porozumienia i tworzył odpowiednie infrastruktury. Wszystko można zmienić. Zaproponujcie odpowiednie zmiany w PRON-ie”. Biskupi, indagowani w sprawie PRON na dwóch kolejnych spotkaniach w kwietniu 1988 r., odpowiedzieli w charakterystyczny sposób, ujawniający intencję włączenia do rozmów reprezentantów opozycji: „Jesteśmy gotowi podjąć tę inicjatywę, ale jako ludzie Kościoła na tej problematyce się nie znamy, trzeba zaprosić ludzi świeckich”. Propozycja władz była nadzwyczaj czytelna i została później powtórzona – zresztą równie bezskutecznie – wobec opozycji solidarnościowej. Jej istotę, stanowiła próba kooptacji reprezentantów sił niezależnych od struktur władzy, w celu podniesienia niskiej wiarygodności tychże struktur w społeczeństwie, jednak bez przyznania siłom niezależnym realnego wpływu na podejmowanie decyzji.

W sierpniu 1988 r., jeszcze przed drugą w tym roku falą strajków, rzecznik rządu, Jerzy Urban; sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, Ciosek, i wiceminister spraw wewnętrznych, Władysław Pożoga, tworzący tzw. zespół trzech doradców Jaruzelskiego, ostrzegali w memoriale: „[...] aktywa naszej ekipy sprowadzają się do poparcia radzieckiego. Jednak ono musi osłabnąć, nawet zaniknąć w miarę, jak okaże się nieskuteczność naszych działań. Zjawisko rozczarowania Moskwy przypieczętujące nasz koniec może się pojawić w rezultacie jesiennej fali strajków”.

W tej sytuacji Jaruzelski, mimo wielu wątpliwości, zdecydował się porzucić nieskuteczną koncepcję kooptacji na rzecz manewru negocjacyjnego, do czego wstęp stanowiło spotkanie Czesława Kiszczaka z Lechem Wałęsą 31 sierpnia 1988 r. Równocześnie od kwietnia tego roku prowadzono w MSW i MON ściśle tajne przygotowania do wprowadzenia stanu wyjątkowego. Jednak z każdym miesiącem alternatywa siłowa stawała się coraz mniej prawdopodobna wobec rozkładu wewnętrznego aparatu władzy, który wydaje się jednym z najważniejszych, a równocześnie niedocenianych przyczyn upadku systemu. Podjęta przez Jaruzelskiego po wprowadzeniu stanu wojennego próba uzupełniania osłabionego aparatu PZPR przez wojsko oraz służby specjalne doprowadziła do ostatecznego rozregulowania całego aparatu władzy, który podzielił się na rywalizujące ze sobą grupy biurokratyczne. Za spektakularny przykład deregulacji systemu politycznego peerelu można uznać losy referendum z listopada 1987 r., w którego przypadku – mimo decyzji Biura Politycznego – w sejmie przeprowadzono przepis ustawiający próg jego prawomocności na poziomie 50 proc. wszystkich uprawnionych do głosowania, a nie 50 proc. uczestniczących.

Chaos pogłębiła też działalność Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych, które od przełomu 1986/1987 pod przywództwem Alfreda Miodowicza coraz wyraźniej kontestowało politykę rządu Zbigniewa Messnera. Reagując na kolejną podwyżkę cen oraz wzrost liczby konfliktów płacowych w zakładach pracy, kierownictwo OPZZ opublikowało w marcu 1987 r. oświadczenie, w którym otwarcie skrytykowano plany reform ogłoszone przez rząd. „W istocie rzeczy był to protest przeciwko głównym założeniom polityki gospodarczej i społecznej przyjętym przez X Zjazd, zatwierdzonym przez sejm PRL przy udziale posłów związków” – oceniał z pewną przesadą Mieczysław F. Rakowski. Równocześnie zaś dodawał: „W gruncie rzeczy można się cieszyć, że to OPZZ skanalizowało niezadowolenie mas, a nie opozycja”. Nie jest jasne, czy Miodowicz już wówczas rozpoczął samodzielną grę polityczną, czy też działał w porozumieniu z gen. Jaruzelskim, próbującym wykorzystywać działaczy OPZZ nie tylko do odbierania potencjalnych zwolenników opozycji (co trafnie zauważył Rakowski), ale i wywierania “oddolnego” nacisku na rząd Messnera. W każdym razie w 1988 r. OPZZ coraz wyraźniej destabilizował aparat rządowy i odegrał decydującą rolę w doprowadzeniu do upadku gabinetu Messnera we wrześniu tego roku.

Kierownictwo PZPR nie było w stanie powstrzymać procesu autonomizacji OPZZ, a także ZSL i SD, które w 1989 r. po zakończeniu obrad okrągłego stołu poszły w ślady centrali Miodowicza. Generał Jaruzelski nie był też w stanie zahamować coraz silniejszych w szeregach aparatu władzy dążeń do konwersji kurczącego się kapitału politycznego na kapitał ekonomiczny, co nazwano później uwłaszczeniem nomenklatury. „To krzyżująca niesprawiedliwość, gangsterstwo pod naszym bokiem” – oburzał się w maju 1988 r., kiedy okazało się, że utworzona cztery lata wcześniej spółdzielnia mieszkaniowa „Młoda Gwardia”, której członkami zostało m.in. osiemdziesięciu funkcjonariuszy Komitetu Centralnego PZPR, stała się narzędziem pomnażania prywatnego kapitału. Podobne zjawiska zachodziły też w służbach specjalnych, gdzie maskowano je m.in. jako działania mające ograniczyć wydatki budżetowe na ich działalność,

ale największą skalę przybrały w szeregach aparatu gospodarczego. Kiedy w końcu 1989 r. Prokuratura Generalna zbadała na polecenie rządu Mazowieckiego skalę tego zjawiska, doliczono się 1593 tzw. spółek nomenklaturowych, a więc utworzonych przez osoby z aparatu władzy państwowej. Większość z nich należała do ludzi pracujących w aparacie gospodarczym (około tysiąca dyrektorów, kierowników i głównych księgowych oraz 580 prezesów spółdzielni), znacznie mniej natomiast do funkcjonariuszy administracji państwowej (9 wojewodów, 57 prezydentów i naczelników) oraz aparatu partyjnego (80).

W rzeczywistości liczba tego rodzaju spółek była znacznie większa, bowiem szacunki nie obejmują firm, w których udziały posiadali członkowie rodzin osób należących do nomenklatury. Dopiero w 1990 r. wydano przepisy, które zakazały łączenia kierowniczych stanowisk w państwowym aparacie gospodarczym i administracyjnym z udziałami w prywatnych spółkach. Proces uwłaszczenia w następujący sposób opisał później szef Służby Bezpieczeństwa, wiceminister spraw wewnętrznych, gen. Henryk Dankowski: „Gdy tylko weszła ustawa i okazało się, że w dziesiątkach fabryk tworzą się *de facto* fikcyjne spółki i oszukują budżet państwa, natychmiast podjęliśmy działania. Można sprawdzić, ile wysyłaliśmy informacji o tym zjawisku. Zmian systemowych nie udało się nam od kierownictwa PRL wyegzekwować, ale w końcu nie od tego byliśmy”. Istotnie, w materiałach MSW można odnaleźć incydentalnie dokumenty sygnalizujące „niekorzystne zjawiska w zakresie tworzenia spółek”. W jednym z nich – powstałym w drugiej połowie sierpnia 1989 r. – stwierdzono: „Należy zauważyć, że bardzo poważną rolę w przyzwoleniu na uprawianie takich i podobnych praktyk odegrało oficjalne stanowisko czynników rządowych przez formowanie tezy »co nie jest zabronione – jest dozwolone«. Zarazem jednak należy pamiętać, że funkcjonariusze podlegli MSW, a zwłaszcza członkowie ich rodzin, bardzo często byli organizatorami i udziałowcami prywatnych spółek powstających z udziałem majątku państwowego. Odbywało się to za zgodą kierownictwa resortu, czego nawet nie ukrywano na wewnętrznych naradach. „Nie jesteśmy przeciwko podejmowaniu działalności handlowej, usługowej czy produkcyjnej na własny rachunek przez rodziny funkcjonariuszy, z wyjątkiem firm polonijnych i z udziałem kapitału zagranicznego” – mówił w kwietniu 1989 r. na II Krajowej Konferencji Przewodniczących Rad Funkcjonariuszy MO i SB szef Służby Polityczno-Wychowawczej MSW, Czesław Staszczak, a zatem człowiek odpowiedzialny za ideologiczny kręgosłup aparatu bezpieczeństwa. W styczniu 1989 r. na dorocznej odprawie kadry kierowniczej MSW w Legionowie Staszczak mówił też o „możliwości stworzenia funkcjonariuszom uzyskiwania dodatkowych dochodów” i – „jeśli na to wskazuje interes służby” – o „udzielaniu zgody funkcjonariuszom na dodatkową pracę poza resortem spraw wewnętrznych”. Wedle szacunków inspektorów kadrowych, 7,5 proc. z blisko 3,5 tys. funkcjonariuszy, którzy odeszli w 1988 r. ze służb podległych MSW na własną prośbę, uczyniło to w celu założenia własnego przedsiębiorstwa prywatnego.

Innym czynnikiem rzutującym na zachowanie samego Jaruzelskiego i jego otoczenia było zjawisko, które generał określił później mianem „zmęczenia materiału”. „Władza się w jakimś sensie zużyła. Jak jest zmęczenie materiału, tak bywa i zmęczenie sprawowaniem władzy” – mówił na ten temat w 1991 r. sam Jaruzelski. Jako jeden z pierwszych dostrzegł je Rakowski. Jeszcze w połowie 1987 r., w obszernym memoriale, który przyczynił się do jego powrotu do władzy, ocenił, że „zespół przywódczy wytracił sporo z dynamiki, którą posiadał w 1981 r. i w latach stanu wojennego. [...] Odnosi się wrażenie, że »bohaterowie są zmęczeni«. To zmęczenie objawiło się podczas obrad okrągłego stołu, kiedy przedstawiciele władz błędnie ocenili sytuację, zgadzając się na wolne wybory do senatu oraz forsując projekt listy krajowej do sejmu, który stracił sens z chwilą odmowy kandydowania z niej przedstawicieli

opozycji. O ile bowiem główny cel okrągłego stołu – czyli uzyskanie zgody Kościoła i opozycji na rządy prezydenckie – został zrealizowany, to sprawa senatu i listy krajowej okazały się przysłowiowymi bombami z opóźnionym zapłonem.

Z punktu widzenia dalszego biegu wydarzeń, najistotniejsze znaczenie przy okrągłym stole miały reformy polityczne. Władze chciały skłonić opozycję do udziału w tzw. niekonfrontacyjnych wyborach parlamentarnych, co miało stanowić wstęp do wbudowania jej w system polityczny PRL w sposób nienaruszający jego fundamentów. Do najostrzejszych sporów doszło w trzech sprawach: ordynacji wyborczej, kompetencji przyszłego prezydenta oraz relacji między sejmem i – mającym powstać jako druga izba parlamentu – senatem. Ostatecznie ustalono, że 65 proc. miejsc w sejmie (299 mandatów) zostanie z góry zagwarantowane dla członków PZPR, ZSL, SD oraz trzech prorządowych organizacji katolickich (Stowarzyszenia PAX, Polskiego Związku Katolicko-Społecznego i Unii Chrześcijańsko-Społecznej), natomiast o pozostałe 35 proc. (161 mandatów) walczyć będą kandydaci bezpartyjni. Wybory do senatu miały być całkowicie wolne. Po długotrwałych sporach – za cenę ustępstw opozycji w kwestii uprawnień prezydenta – zgodzono się, że sejm będzie mógł przełamywać ewentualne weto senackie większością dwóch trzecich.

Dla PZPR, czego jej reprezentanci specjalnie nie ukrywali, prezydent wyposażony w szerokie kompetencje miał być kluczowym gwarantem zachowania wpływów w państwie przez formację komunistyczną. Nie ukrywano też, że kandydatem koalicji na stanowisko szefa państwa będzie gen. Jaruzelski. Opozycja, zachęcona zgodą władz na wolne wybory do senatu, zgodziła się w końcu, że prezydenta peerelu wybierać będzie na sześcioletnią kadencję Zgromadzenie Narodowe, tj. połączone izby parlamentu. Został on wyposażony w prawo weta ustawodawczego (uchylanego przez sejm większością dwóch trzecich) oraz rozwiązywania parlamentu, jeśli sejm w terminie trzech miesięcy nie powoła rządu, nie przyjmie budżetu „bądź uchwali ustawę lub podejmie uchwałę uniemożliwiającą Prezydentowi wykonywanie jego konstytucyjnych uprawnień”. Do kompetencji prezydenta zaliczono m.in.: sprawowanie zwierzchnictwa nad siłami zbrojnymi, przewodniczenie Komitetowi Obrony Kraju, występowanie do sejmu z wnioskiem o powołanie i odwołanie prezesa NBP wreszcie wprowadzanie stanu wojennego i wyjątkowego.

Okrągły stół miał w planach władz jeszcze jeden istotny cel: powstrzymanie gwałtownie pogarszających się nastrojów społecznych. „Niektóre kręgi młodzieży [...] stały się bardziej radykalnie nastawione do partii niż ich duchowi ojcowie z lat 1980–1981” – oceniano w grudniu w Biurze Studiów MSW. Młodzież zaczęła w coraz większej liczbie zasilać szeregi tzw. sympatyków opozycji, których liczebność wzrosła wedle drobiazgowych wycień SB z niespełna 20 tys. w maju do ponad 55 tys. w grudniu 1988 r. Był to zatem wzrost lawinowy, a jego przyczyny komentowano w innym dokumencie MSW następująco: „W 1988 r. do działań opozycyjnych włączyło się aktywnie młode pokolenie, które w latach 1980–81 było jeszcze w wieku szkolnym. Jego działanie charakteryzuje radykalizm i zwalczanie wszystkich sił i osób o tendencjach ugodowych”. Oceny analityków z MSW, powtarzane również w niektórych dokumentach partyjnych, stanowiły w istocie rzeczy ostrzeżenie dla obu stron negocjujących rozpoczęcie obrad okrągłego stołu.

„Groźba, to radykalizm młodego pokolenia” – mówił w końcu stycznia 1989 r. na posiedzeniu Sekretariatu KC PZPR Janusz Reykowski, a wydarzenia następnego tygodnia zaalarmowały nie tylko władze. „Z niepokojem grupa postkorowska ocenia radykalizację młodzieży studenckiej” – informowano pod koniec lutego kierownictwo PZPR, podkreślając zarazem, że środowisko postkorowskie „uważa za konieczne podjęcie [...] pewnych działań tonizujących”.

Zwiastunem załamywania się nastrojów starszej części Polaków stały się strajki. W styczniu 1989 r. w 49 strajkach uczestniczyło 15 tys. ludzi, w lutym było 67 strajków, zaś w marcu 260 z udziałem ponad 100 tys. ludzi. W tym czasie, po raz pierwszy od lat, Polska znalazła się o krok od wielkiego wybuchu społecznego mogącego zmieść ekipę Jaruzelskiego, ale i skupioną wokół Wałęsy grupę czołowych działaczy i doradców „Solidarności”, którzy od połowy 1988 r. pozostawali głównymi rozmówcami władz.

Działania tonizujące, będące wspólnym dokonaniem uczestników okrągłego stołu, zakończyły się doraźnym sukcesem. W kwietniu, gdy w Pałacu Namiestnikowskim podpisano porozumienia końcowe i rozpoczęła się przedwyborcza gorączka, liczba strajków gwałtownie zmalała. Kiedy jednak 4 czerwca 1989 r. PZPR poniosła druzgocącą klęskę, a liderzy zwycięskiego Komitetu Obywatelskiego dali się skutecznie zastraszyć Kiszczakowi i innym przedstawicielom władz, liczba strajków znów zaczęła szybko rosnąć.

W pierwszej połowie kwietnia, w sposób zaiste błyskawiczny, we wszystkich województwach powstały regionalne Komitety Obywatelskie. W następnych tygodniach proces budowy ruchu obywatelskiego uległ dalszemu rozszerzeniu: komitety zakładano w małych miejscowościach, dzielnicach, a nawet w osiedlach położonych w większych miastach. Tworzyli je najczęściej działacze „Solidarności” oraz „Solidarności” Rolników Indywidualnych, ale także członkowie rozmaitych struktur opozycyjnych, w tym działających dotąd legalnie Klubów Inteligencji Katolickiej. Od samego początku proces narodzin ruchu obywatelskiego był mocno wspierany przez Kościół, a księża bardzo często odgrywali rolę faktycznych założycieli komitetów. Hierarchia kościelna, mimo rozmaitych zastrzeżeń do poszczególnych kandydatów, udzieliła faktycznego poparcia „Solidarności”, a Konferencja Episkopatu wezwała 2 maja katolików do udziału w wyborach. Oczywiście, zaangażowanie poszczególnych biskupów i proboszczów w kampanię Komitetu Obywatelskiego było zróżnicowane, jednak większość z nich nie próbowała nawet ukrywać swoich prosolidarnościowych sympatii.

Kampania prowadzona przez Komitet Obywatelski odznaczała się dużą dynamiką. Ulice polskich miast i miasteczek tonęły w plakatach nawołujących do głosowania na kandydatów „Solidarności”, powszechnie dostępne były też wydawnictwa propagandowe związku. Po wieloletniej nieobecności na legalnym forum życia publicznego taka wizualna dominacja miała ogromne znaczenie dla pozyskania zdezorientowanej większości elektoratu. Zdobyć przewagę ułatwiła KO taktyka wyborcza przyjęta przez PZPR. Zakładała ona intensyfikację akcji propagandowej dopiero w ostatnim tygodniu kampanii, w nadziei, że wyborcy będą już wówczas zmęczeni agitacją „Solidarności” i przez to podatniejsi na krótkotrwałe, ale zmasowane uderzenie koalicji. Okazało się jednak, że dla KO najważniejsze były pierwsze, nie zaś ostatnie dni kampanii. Tylko na samym jej początku koalicja miała przynajmniej teoretyczną możliwość propagandowej marginalizacji „Solidarności” – po sześciu tygodniach nie było już na to żadnych szans.

Innym poważnym błędem popełnionym w PZPR, ale także w innych ugrupowaniach tworzących koalicję rządową, był sposób wyboru kandydatów na posłów i senatorów. Przez lata decyzje w tej sprawie zapadały na posiedzeniach Biura Politycznego, którego rozstrzygnięcia personalne miały ostateczny charakter. Tym razem, próbując tchnąć ducha aktywności w zaskorupiałe struktury partyjne, dopuszczono do decentralizacji całego procesu. W efekcie na konwencjach wojewódzkich wybierano po trzech kandydatów PZPR na dwa miejsca w senacie, ignorując przy tym całkowicie interesy własnych koalicjantów. Postępujący w partii ferment sprawił, że niektórzy pretendenci, wyeliminowani w trakcie wstępnej selekcji, buntowali się i samodzielnie zbierali wymagane do rejestracji 3 tys. podpisów. Doprowadziło

to do sytuacji, w której zamiast stu kandydatów koalicji PZPR-ZSL-SD w wyborach do senatu uczestniczyło 178 ludzi z PZPR, 87 z ZSL i 67 z SD. W ten prosty sposób już na starcie podzielono i tak kurczący się coraz bardziej koalicyjny elektorat. Do konfliktów dochodziło także podczas obsadzania miejsc na partyjnych listach poselskich. W szeregu przypadków lokalne instancje PZPR więcej uwagi poświęcały zwalczaniu buntowników we własnych szeregach, aniżeli kandydatów Komitetu Obywatelskiego. Zdarzały się nawet wypadki usuwania z partii w celu uniemożliwienia danej osobie ubiegania się o mandat zarezerwowany dla PZPR.

Komitet Obywatelski „Solidarność” nie był jedyną formacją opozycyjną, która zdecydowała się na uczestnictwo w kontraktowych wyborach do parlamentu. Podobną decyzję podjęli także przywódcy części opozycyjnych partii politycznych, wśród których największym potencjałem dysponowała Konfederacja Polski Niepodległej. Ostatecznie KPN wystawił szesnastu kandydatów na posłów i sześciu na senatorów. Swoich kandydatów zarejestrowały także: Grupa Robocza Komisji Krajowej, konserwatywno-liberalna Unia Polityki Realnej oraz Ruch Wolnych Demokratów. W wyborach wystartował ponadto cały szereg kandydatów niezależnych, w tym m.in. działacze katolicycy pozostający poza obozem solidarnościowym (np. Ryszard Bender, Janusz Zabłocki, Henryk Goryszewski) oraz opozycjoniści, którzy odrzucali dyktat grupy kierującej KO (m.in. Kazimierz Świłoń i Władysław Siła-Nowicki). Odrębną grupę osób, ubiegających się o mandaty w ramach puli dla bezpartyjnych, tworzyli kandydaci popierani – mniej lub bardziej otwarcie – przez PZPR i stąd nazywani „bezpartyjnymi bolszewikami”. Sztandarową postacią w tej grupie był Urban, wówczas prezes Radiokomitetu, próbujący zdobyć mandat poselski w okręgu Warszawa-Śródmieście. Radykalne skrzydło opozycji, obejmujące m.in. „Solidarność Walczącą”, PPS-RD oraz Liberalno-Demokratyczną Partię „Niepodległość”, wezwało natomiast do bojkotu wyborów. Ugrupowania te – odrzucające okrągłostołowy kompromis z komunistami oraz wszystkie jego efekty – żądały odsunięcia PZPR od władzy i przeprowadzenia całkowicie wolnych wyborów parlamentarnych.

Do wyborów stanęło ostatecznie 558 kandydatów na senatorów oraz 1760 osób ubiegających się o mandat poselski. Frekwencja wyborcza w dniu 4 czerwca 1989 r. wyniosła 62 proc., co większość obserwatorów uznała – zważywszy na sytuację polityczną – za zaskakująco niski poziom. Wyniki pierwszej tury wyborów stanowiły olbrzymi sukces Komitetu Obywatelskiego, a równocześnie nokautującą klęskę koalicji rządzącej. Porażki doznali także przedstawiciele opozycji niesolidarnościowej. Kandydaci KO do sejmu uzyskali 160 ze 161 możliwych do zdobycia miejsc w parlamencie. Na uzyskanie jednego mandatu brakującego do absolutnego zwycięstwa kandydat „Solidarności” (Andrzej Wybrański z okręgu Inowrocław) miał szansę w drugiej turze. W wyborach do senatu reprezentanci „Solidarności” zdobyli 92 mandaty, a ośmiu innych, którym zabrakło wymaganej większości głosów, przeszło do drugiej tury. Strona koalicyjna nie zdobyła natomiast ani jednego miejsca w Senacie, a wymaganą większość głosów w wyborach do sejmu uzyskali tylko trzej jej kandydaci, zawdzięczający to zresztą nieformalnemu poparciu „Solidarności”. Pozostałych 296 mandatów koalicyjnych miało zostać obsadzonych dopiero w drugiej turze. Jednak najbardziej dotkliwy dla władz był upadek listy krajowej, gromadzącej większość przywódców partii tworzących koalicję. Z 35 kandydatów umieszczonych na tej liście jedynie dwóch (Mikołaj Kozakiewicz i Adam Zieliński) otrzymało ponad 50 proc. głosów, co w świetle obowiązującej ordynacji oznaczało, że 33 mandaty poselskie pozostaną nieobsadzone. To zaś było równoznaczne z zachwianiem przewagi koalicji w parlamencie.

Mogło się wydawać, że niespodziewanie dobry wynik wyborów skłoni kierownictwo ruchu obywatelskiego do działań ofensywnych, do próby wykorzystania zwycięstwa dla



ograniczenia władzy PZPR. Oczekiwało tego wielu szeregowych członków „Solidarności” oraz jej wyborców. Tymczasem przywódcy Komitetu Obywatelskiego okazali się skonsternowani rezultatami wyborów w stopniu niewiele mniejszym niż władze. Przyzwyczajeni przez ostatnie miesiące do prowadzenia polityki metodami gabinetowymi, przestraszyli się, że sytuacja wymknie im się spod kontroli i zacznie przebiegać inaczej niż według scenariusza napisanego przy okrągłym stole.

Ugodową linię kierownictwa KO ułatwiła postawa przedstawicieli PZPR, którzy na porażkę zareagowali agresją. Pogrożki, z jakimi Kiszczak, Ciosek i Gdula wystąpili na spotkaniu z Geremkiem i Mazowieckim 6 czerwca, utwierdziły przywódców ruchu obywatelskiego w ich obawach przed powrotem polityki represji. W tej sytuacji kierownictwo KO zdecydowało się 8 czerwca – na posiedzeniu tzw. Komisji Porozumiewawczej koalicji i „Solidarności” – wyrazić zgodę na zmianę ordynacji umożliwiającą obsadzenie 33 mandatów z listy krajowej. Stosowny dekret, przewidujący przekazanie 33 nieobsadzonych mandatów do okręgów, Rada Państwa wydała 12 czerwca. Ponieważ większość osób kandydujących z listy krajowej wolała uniknąć upokarzającej procedury ponownego wyboru, dekret stanowił, że o miejsca w sejmie mogą się ubiegać wyłącznie nowi kandydaci. Konsekwencją tego zapisu stała się ostateczna eliminacja czołowych działaczy PZPR, ZSL i SD z sejmu, co oczywiście miało swoje dalsze reperkusje.

W drugiej turze wyborów, która odbyła się 18 czerwca, uczestniczyło zaledwie 25 proc. uprawnionych do głosowania. Był to kolejny policzek dla koalicji, sytuował bowiem jej posłów w roli parlamentarzystów drugiej kategorii, o wyraźnie słabszym mandacie społecznym. „Solidarność” zdobyła jedyny brakujący jej mandat poselski oraz siedem z ośmiu pozostałych jeszcze do obsadzenia mandatów senatorskich. Jako jedyny kandydat KO przegrał wybory Piotr Baumgart, startujący w woj. piłskim. Pokonał go miejscowy przedsiębiorca Henryk Stokłosa, występujący jako kandydat niezależny, faktycznie jednak powiązany z obozem władzy. Przed drugą turą „Solidarność” zaapelowała do swoich zwolenników o głosowanie na niektórych kandydatów z list koalicyjnych. Chodziło tu o ludzi, którzy startowali w opozycji do kierownictw własnych partii i rokowali nadzieje na zachowanie w sejmie niezależnej postawy. Łącznie udzielono poparcia 55 późniejszym posłom, w tym 21 należącym do PZPR.

Z chwilą ogłoszenia wyników pierwszej tury wyborów stało się jasne, że proces ewolucyjnej zmiany ustroju, zaplanowany przy okrągłym stole na kilka lat, ulegnie przyspieszeniu. O ile przed wyborami wydawało się, że zarówno stanowisko prezydenta, jak i misja tworzenia nowego rządu będą zarezerwowane dla ludzi z PZPR, to po 4 czerwca 1989 r. nie było to już takie pewne. Ogromne poparcie społeczne dla opozycji otworzyło przed jej przywódcami nowe, znacznie szersze możliwości działania, a równocześnie gwałtownie pogłębiło dezorientację i kryzys całego aparatu władzy.

W celu wyboru prezydenta PRL 19 lipca 1989 r. zebrało się Zgromadzenie Narodowe. Jedynym zgłoszonym kandydatem był gen. Jaruzelski. W głosowaniu wzięło udział 544 posłów i senatorów, wchodzących w skład liczącego ogółem 560 członków Zgromadzenia Narodowego; 270 z nich poparło kandydaturę generała, 233 było przeciwnych, 34 wstrzymało się, a 7 oddało głosy nieważne. Wymagana większość przy 537 głosach ważnych wynosiła 269, co oznaczało, że gen. Jaruzelski został wybrany większością jednego głosu. Ponieważ głosowanie było jawne, szybko okazało się, że gen. Jaruzelski został prezydentem dzięki faktycznemu poparciu części opozycji. Przeciwko generałowi głosowało bowiem 6 posłów z ZSL, 4 z SD i 1 z PZPR, a 4 innych (3 z ZSL i 1 z PZPR) nie wzięło w ogóle udziału w wyborach. Jaruzelskiego uratowała akcja zorganizowana w trakcie głosowania przez senatora Andrzeja Wie-

lowieyskiego z Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego (taką nazwę przyjął klub skupiający posłów i senatorów „Solidarności”). Wraz z Wiktorem Kulerskim, Andrzejem Miłkowskim, Aleksandrem Paszyńskim, Andrzejem Stelmachowskim, Stanisławem Stomą i Witoldem Trzeciakowskim oddał on głos nieważny, obniżając w ten sposób minimum umożliwiające wybór. Jeszcze dalej posunął się senator OKP, Stanisław Bernatowicz, który oddał głos na Jaruzelskiego. Wybór generała ułatwiła *de facto* także postawa jedenastu parlamentarzystów z OKP, którzy – jak np. Marek Jurek – nie uczestniczyli w głosowaniu, motywując to m.in. brakiem rzeczywistego wyboru.

Jaruzelski został głową państwa, ale było to iście pyrrusowe zwycięstwo. Zwycięstwo zaledwie jednym głosem zakrawało bowiem na żart historii i – jak wynika z niektórych przekazów – upokorzyło i wewnętrznie złamało generała, który dość szybko zrozumiał, jak słabym mandatem dysponuje. W ciągu kilku następných tygodni próbował jeszcze powstrzymać rozpad systemu, jaki sam symbolizował przez ostatnie osiem lat, ale kiedy w końcu urząd premiera przeszedł w ręce przedstawiciela „Solidarności”, zajął postawę biernego obserwatora wydarzeń.

Druga część XIII Plenum KC PZPR, na którym najważniejszym wydarzeniem była zmiana na stanowisku I sekretarza, odbyła się 29 lipca. Jaruzelskiego zastąpił wówczas Rakowski. Na plenum podjęto także decyzję o desygnowaniu na stanowisko premiera gen. Kiszczaka. Była to kolejna błędna decyzja personalna Jaruzelskiego przyspieszająca upadek rządów PZPR. Po wyborze Jaruzelskiego na prezydenta, a Rakowskiego na I sekretarza KC PZPR, powierzenie misji tworzenia rządu właśnie Kiszczakowi miało bowiem fatalny wydźwięk propagandowy i w sposób nieuchronny koczowało się z karuzelą stanowisk. Szybko okazało się, że Kiszczak nie dysponuje pełnym poparciem nawet w Klubie Poselskim PZPR, a opozycja coraz bardziej zdecydowanie odrzuca samą zasadę utrzymania urzędu premiera przez partię komunistyczną. Jasno dał temu wyraz Wałęsa, który jeszcze 25 lipca spotkał się z Jaruzelskim. Nie tylko odrzucił wówczas prezydencką propozycję udziału „Solidarności” w rządzie „wielkiej koalicji” i objęcia w nim kilku resortów, ale wprost oświadczył, że „jedynym rozsądnym wyjściem będzie przekazanie rządu tym siłom, które korzystają z poparcia większości społeczeństwa”.

Nowe stanowisko Wałęsy ułatwiło działanie tym członkom OKP, którzy postanowili pozyskać posłów z ZSL i SD do wspólnej akcji przeciwko kandydaturze Kiszczaka. Wałęsa 7 sierpnia wydał oświadczenie uznające monopolistyczne rządy PZPR za główne źródło kryzysu państwa. Dlatego misję Kiszczaka ocenił jako szkodliwą, „stanowiącą dla społeczeństwa potwierdzenie obaw, że nic w istocie się nie zmieniło, że brak nadziei na przyszłość”. „Jedynym rozwiązaniem politycznym – stwierdzał w zakończeniu Wałęsa – jest powołanie Rady Ministrów w oparciu o koalicję »Solidarności«, ZSL i SD, o co będę zabiegał”.

Oświadczenie przewodniczącego „Solidarności” ostatecznie sparaliżowało wysiłki Kiszczaka, już wcześniej mającego duże problemy ze znalezieniem poważnych kandydatów do swojego rządu. Tymczasem podjęta jeszcze przez gabinet Rakowskiego decyzja o tzw. urynkowaniu żywności z dniem 1 sierpnia spowodowała gwałtowny wzrost cen i początek hiperinflacji. Było oczywiste, że skuteczną walkę z kryzysem gospodarczym może podjąć jedynie rząd cieszący się dużym zaufaniem społecznym. Takiego gabinetu nie był jednak w stanie stworzyć ani Kiszczak, ani też jakikolwiek inny członek PZPR. Rozumieli to doskonale działacze ZSL i SD, którzy – licząc na zwiększenie swojej roli w nowym układzie politycznym – w większości pozytywnie zareagowali na propozycję Wałęsy.

Klub poselski ZSL 16 sierpnia wydał oświadczenie, w którym udzielił oficjalnego poparcia inicjatywie Wałęsy i opowiedział się za sojuszem z „Solidarnością”. Następnego dnia

Wałęsa spotkał się z prezesem ZSL, Romanem Malinowskim, który poparł przedstawioną mu kandydaturę Mazowieckiego na stanowisko premiera. W dwa dni po tym spotkaniu, 19 sierpnia, prezydent Jaruzelski powierzył Mazowieckiemu misję tworzenia rządu.

Mazowiecki wystąpił w sejmie 24 sierpnia. W wygłoszonym wówczas przemówieniu za najważniejszy cel przyszłego rządu uznał przezwycięzenie kryzysu ekonomicznego poprzez „powrót do gospodarki rynkowej oraz roli państwa zbliżonej do rozwiniętych gospodarczo krajów”. W przemówieniu sejmowym Mazowieckiego znalazł się także następujący, słynny później fragment: „Przeszłość odkreślamy grubą linią. Odpowiadać będziemy jedynie za to, co uczyniliśmy, by wydobyć Polskę z obecnego stanu załamania”. Oczywiście, Mazowieckiemu chodziło o odcięcie się od epoki rządów komunistycznych i podkreślenie faktu rozpoczęcia nowego okresu w historii Polski. Wszelako późniejsza niezdolność jego rządu do radykalnego zerwania z dziedzictwem peerelu sprawiła, że przeciwnicy Mazowieckiego przypisali mu sformułowanie zasady tzw. grubej kreski, oznaczającej nadmierną tolerancję dla sił postkomunistycznych. Nie było to zgodne z myślą wyrażoną przez Mazowieckiego w jego sierpniowym przemówieniu, ale z pewnością miało spore uzasadnienie w odniesieniu do polityki realizowanej przez jego gabinet w 1990 r.

Po przemówieniu Mazowieckiego nastąpiło w sejmie głosowanie nad powierzeniem mu funkcji premiera. Wzięło w nim udział 423 posłów, z których 378 poparło jego kandydaturę. Przeciwno było jedynie 4, a 41 wstrzymało się od głosowania. W trakcie trwającego ponad dwa tygodnie procesu konstruowania gabinetu główną trudnością, na jaką natrafił Mazowiecki, było opanowanie roszczeń personalnych PZPR i ZSL. Ostatecznie na 24 członków rządu 12 wywodziło się z „Solidarności”, 4 z ZSL, 4 z PZPR, 3 z SD, a jeden (minister spraw zagranicznych Krzysztof Skubiszewski) był niezależny. Najważniejsze resorty objęli: finanse – Leszek Balcerowicz („S”); rolnictwo – Czesław Janicki (ZSL); sprawy wewnętrzne – Kiszczak (PZPR). Wszyscy trzej wraz z szefem Urzędu Postępu Naukowo-Technicznego i Wdrożeń Janem Janowskim (SD) zostali też wicepremierami. Z kolei URM objął Jacek Ambroziak („S”); obrona narodowa – Florian Siwicki (PZPR); sprawiedliwość – Aleksander Bentkowski (ZSL); pracę i politykę socjalną – Jacek Kuroń („S”).

Powstanie rządu Mazowieckiego zapoczątkowało dwuletni okres przejściowy między peerelem a III Rzeczpospolitą, zakończony pierwszymi wolnymi wyborami do parlamentu w październiku 1991 r. W tym czasie likwidacji lub przeobrażeniom ulegały kolejne bastiony starego systemu: w styczniu 1990 r. rozwiązała się PZPR, w kwietniu zlikwidowano ostatecznie cenzurę, w maju Służba Bezpieczeństwa została zastąpiona przez Urząd Ochrony Państwa, a w lipcu Mazowiecki zdecydował się w końcu na usunięcie z rządu generałów Kiszczaka i Siwickiego. W wymiarze symbolicznym proces ten zamknęło ustąpienie przez gen. Jaruzelskiego ze stanowiska prezydenta w grudniu 1990 r., likwidacja Układu Warszawskiego w pół roku później oraz pierwsze wolne wybory parlamentarne w październiku 1991 r. Polityka porozumienia z komunistami, stanowiąca fundament okrągłego stołu, doprowadziła zatem do bezkrawawej demokratyzacji systemu politycznego i ewolucyjnego odzyskania niepodległości. Zarazem jednak jej owocem było uwłaszczenie nomenklatury i rozkwit kapitalizmu politycznego, usprawiedliwiane najpierw koniecznością pacyfikacji nastrojów w armii i bezpiecze, później zaś hasłem nietworzenia w Polsce obywateli drugiej kategorii, jakimi rzekomo staliby się funkcjonariusze aparatu władzy peerelu po przyjęciu na początku lat dziewięćdziesiątych ustawy dekomunizacyjnej, takiej chociażby jak w sąsiednich Czechach. Dlatego nie należy się dziwić, że w dwadzieścia lat po opisanych wyżej wydarzeniach wciąż powraca pytanie: czy cena, jaką Polacy zapłacili włodarzom petrełu za umożliwienie transformacji ustrojowej, nie była jednak zbyt wysoka?